

Janina Tyborowska-Urbańska

część II z II

Sygnatura notacji: **N0166**

Data urodzenia: **01.01.1934 r.**

Data nagrania: **27.07.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 54 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janina Urbańska-Tyborowska: W pewnym momencie, to był grudzień, zaczęliśmy słyszeć odgłosy wojny. No i coraz bliżej, coraz bliżej. Z tym, że tych Niemców było tam niewiele. No było źle, dlatego, że tam grasował „pan pyta”, jego nazywali „Pyta” bo za butem z cholewami nosił taką szpicrutę i bił, Niemców też. Także okropny był i wszyscy się go bali. A brali do kopania dołów, do obsługi także, gnębił tych wszystkich tych no... Jak usłyszeliśmy, że już idzie wojsko, to myśmy się bardzo ucieszyli. No i tuż przed Bożym Narodzeniem, albo raczej w Boże Narodzenie, usłyszeliśmy „Hura, idą!” A cała Nida, pole przed Nidą było wszystko zaminowane. I ja jako dziecko absolutnie nie rozumiałam, że tak później znienawidzili tych, co nas wyzwolili. Ja tego nie rozumiałam, bo to dla mnie polityka była bardzo daleka i obca. Także myśmy go, gdy przeszli zamrażniętą Nidę, to nieraz usłyszeliśmy huk i okazało się, że któryś wyleciał w powietrze. Ale oni nie patrzyli. Zmarznięci, czerwoni, bagnety na karabiny, i karabin maszynowy stał na tej górze z Niemcami. Nie patrzyli nic, tylko chórem szli pod tą górę zmarznięci, szarzy i wypędzili tych Niemców. Jak myśmy go wszyscy całowali, tych jak myśmy... Wszystko się znalazło i dla..., i legowiska, i alkohol, i jedzenie. Wszystko się znalazło, bo się ludzie cieszyli, że już nie będzie Niemców. Tak że... Nie mogę powiedzieć. Nie jestem upolityczniona. Mnie to nie interesuje. Po prostu niech rządzi kto chce, byle nie okupant. Bo to są politycy, jest rząd. Mnie to nie interesuje. Absolutnie. No i myśmy przeczekali. Chyba tak. Przeczekaliśmy jeszcze Boże Narodzenie. No i Helino wreszcie po..., postarała mnie się. Jakies buty o wiele za duże, ale bardzo dobre, dlatego że, żeby nogi nie zmarzły, to trzeba je pod skarpetkę owinąć gazetą. I ja miałam te nożyny owinięte gazetą, później na to jakieś tam rajtuzy czy coś i było mi w nogi ciepło, bo buty były dwa razy większe. No i ruszyliśmy w drogę. 350 kilometrów. Idziemy, idziemy. Jedzie, dość długo, jedzie jakaś ciężarówka. Buda taka z plandeką. I to my zatrzymujemy. „Dokąd jedziecie?”. „Podwieźcie nas”. „Jedziemy do Radomia”. Mój Boże, on do Warszawy, z Radomia 150 kilometrów, a nie 350. „No to zawieście nas na to”. – „No to dawaj co masz”. No

to wszyscy: a kolczyki, a obrączki, 500 złotych na kartę było na wymianę. Wszyscy oddali wszystko co mieli. No i jedziemy. Pojechaliśmy chyba z dziesięć albo z piętnaście kilometrów. Ciężarówka się zatrzymuje. Bierze pepeszę i mówi: „Uchadi” [ros. uciekać], wyrzucił nas wszystkich. No to tylko dziękowaliśmy Bogu, Bogu, że nas nie rozstrzelał. No bo nie wiem, jakie miał zamiary, ale w każdym bądź razie wyrzucił nas z ciężarówki. No to już mieliśmy wtedy tylko nie 350, ale 320 kilometrów. I tak szliśmy. Wiem, co to jest głód. Wiem, co to jest bieda. Wiem, co to jest, są robactwo, bo pluskwy, wszy. Bo wtedy nie było żadnego DDT ani żadnych środków. Mydło też było na kartki, więc nocowało się... Więc jeśli nas ktoś nawet chciał wpuścić do domu, to myśmy odmawiali, że my tylko możemy albo w stodole, albo w oborze. Dlatego, że my już niestety, ale nie jesteśmy czysti, tak że po stodołach... I tak te 350 km doszliśmy. Ale najpierw doszliśmy do Radomia, doszliśmy do Radomia, a przedtem było jeszcze tylko takie... To jest bardzo ważne zdarzenie, bo szliśmy, był, to były tory i one były zbombardowane, i w pewnym momencie nie było innego przejścia tylko przez te tory. Dorośli przeskakiwali, ale nas było troje czy czworo dzieci. Ani rusz to prze[niezrozumiałe]. Ale byli kochani mężczyźni. Jeden uczył się jednej, jednej strony, drugi drugiej. Wzięli jakąś linkę, żeby nie wlecieć tam do dołu i chwycili się za ręce. I myśmy dzieci przeszły po nich, przeszły na drugą stronę. No i w ten sposób o żebraczym chlebie, ludzie też nie mieli, ale dzielili się z nami tym, co mieli, i tak doszliśmy do Radomia. No, w Radomiu było o tyle, że była masa ludzi, którzy, która czekała na pojazd, na jakiś pociąg do Warszawy, że wreszcie przyjedzie. No ale czekać to można nie wiadomo ile. Była też jakaś pomoc, dlatego że były i jakieś siostry zakonne. Jeszcze był, jeszcze były jakieś kobiety. W każdym bądź razie wyniosły parę, trzy czy ileś tam tych kotłów, takich zupy, grochówki z kiełbaską. I kto przychodził, to dostawał prócz i pajdę chleba. Ale też pilnowali, żeby dwa razy drugi nie szedł. W którymś tam kilometrze i naraz wciągamy powietrze. Boże, zapach chleba. Gdzieś piekarnia. A mój wujek tam był zawsze odważny, młody, i mówi: „Poczekajcie trochę”. Poszedł do tej piekarni. No i akurat wyciągali chleb z pieca. No to już ludzie stoją i trzymają pieniądze w ręku. A mój ojciec, mój wujek zdjął pasek od spodni i krzyknął: „My jesteśmy z Warszawy, nie mamy pieniędzy”, i rzucił jemu. A odrzucił ten piekarz dwa bochenki chleba i powiedział: „Ja też jestem z Warszawy, pozdrówcie ją ode mnie”. No i tego luda ile tam było, ze dwanaście osób.

Julia Krajewska: Ale dwa bochenki chleba?

Janina Urbańska-Tyborowska: Tak że... To był bardzo ważny taki... Nawet pisałam pracę maturalną, pracę napisałam „Zapach chleba”. Różne takie te. No inaczej to było ujęte, bo to miała być praca maturalna, ale ja napisałam „Zapach chleba”. Także doszliśmy mniej więcej do... Zaraz powiem do... 150 km, to mniej więcej koło 20 stycznia byliśmy już w Warszawie, ale niestety, wszystko zrównane z ziemią, przysypane śniegiem, napisane wszędzie: „Uwaga miny”, nie ma jak żyć. Ale mój ojciec pochodził z koło Tłuszcza, Sulejów, i tam mieli taki dworek. Co prawda ten dworek to się nie wydłgał jak dworek, tylko zwykła taka chałupa, tylko tyle, że się różniła, bo miała dwa białe filary przy przy tym budynku. Więc mówię: „My musimy przez...”. MOst już był rzucony drewniany między Warszawą a Pragą i już ludzie chodzili, już handlowali, już przechodzili, bo Praga nie była aż tak zniszczona. No bo tam dość długo stało wojsko, które nie miało rozkazu, żeby pomóc powstańcom, prawda. Także po tym moście poczekało się tak falami, falami, przepuszczali, falami przepuszczali ludzi, samochody i żołnierzy, tak że trzeba było swoje odczekać. No i przeszliśmy na Pragę. No i znów ze sześćdziesiąt kilometrów pieszo. Znów o żebraczym chlebie. No i doszliśmy do tego Sulejowa, a tam pustka. Zrównane wszystko z ziemią. Tylko biały kościółek z urwanym krzyżem takim stał, bielutki taki widać było, taki z daleka. No i... Idziemy przez las, już blisko tego Sulejowa i jedzie wóz. Człowiek

z wozem i z końmi, i ma taki długi pień z 10 metrów drzewa. I to drzewo ciągnie. Znaczy on ciągnął na budowę już. No więc jak to, poznali się: „Mieciu, dzień dobry” i tak dalej. A on tak bez pardonu od razu powiedział: „A wiesz, Mieciu, że twoja mama, siostra i młodszy brat żyje, a Tadeusz przepuszczał kobietę z dzieckiem do schronu i trafiła go kulka”? I wtedy zobaczyłam... Dla mnie to było też wielkie przeżycie, bo zobaczyłam, co się z człowiekiem w kilka minut może zrobić. Mój wujek zbladł jak ściana, bach i leży. Bardzo kochał swojego najstarszego brata, dlatego, że ten brat zastępował jemu ojca, który zresztą zginął. Także po prostu nie wiedzieliśmy, co zrobić. Ale jak to... Na rozgrzewkę pan gospodarz miał flaszeczkę i wlał alkohol, a że wujek nigdy nie pił, to się zakrztusił. No jakoś się obudził, ale widać było już to załamanie i tak mu było wszystko obojętne. Już także przeżycie miał ogromne. No a w tej rodzinie był najmłodszy brat ojca.

Julia Krajewska: Urodził się ze sztywną prawą ręką, no i został na ziemi, Prawą?

Janina Urbańska-Tyborowska: Nie, lewą ręką. Lewą, bo... Wziął się za szewstwo, ale równocześnie był leśniczym. I ten dom miał pobudowany w lesie. I Niemcy zrównali z ziemią całą wieś. Absolutnie tego domu nie widzieli, bo las był stary. No i myśmy tam dobrnęli. Tam była moja babcia od strony ojca i tu pamiętam, bardzo to się w pamięci dziecka... To było bardzo ważne, bo ja byłam, w ogóle nie wiedziałam, czy byłam kiedyś syta. Po prostu zawsze byłam głodna, chuda i głodna i babcia gotowała na mleku tak zwane rwoki, to znaczy z czarnej, z ciemnej maki takie zacierki duże. Boże, jakie to było dobre! Jak człowiek nie wiedział, jak to cenić. No mama pomagała, pomagała, jak tam mogła. Ale wujek powiedział: „No to wy tu zostaniecie, a ja wracam do Warszawy i jakoś spróbuję się... Nie wszystkie dzielnice są zniszczone. Mokotów, Żoliborz to są niezniszczone tak bardzo. Więc tutaj zagospodaruje się i...”. No i tak było, też znów pieszo poszedł. No, przyszedł do Warszawy i znalazł mieszkanie na Różanej. Różanej 25, na Różanej i już było zasiedlone prawie wszystko. Ale jeden pokój był. Jeden pokój był. No i ojciec. Wujek sobie wtedy tam pościagał stół. Wszystkie takie po różnych tam. Bo to wszystko leżało odłogiem, jak to mówią. Wszystko leżało i można było brać. Także zagospodarował tak, żeby w tym pokoju jakoś urządzić, ale żeby rozgrzać się. Te mury były tak zziębnięte, że żeby rozgrzać się trochę, to musiał napalić w kuchni, w piecu, położyć deski i położyć się na tym. Bo nie sposób było. No pozabijał okna deskami i tak dalej. No i mniej więcej po dwóch tygodniach zatrudniał się przy odgruzowaniu. No i jedno było czasem płatne, czasem za deputat, a czasem trafił się ktoś, kto miał willę i chciał, żeby mu pomóc, bo to była bogata dzielnica. Wrócił do swojego, no więc płacił gotówką. No więc wujek już trochę zarobił. No i przyjechał po nas, ale już pociąg szedł od Tłuszcza gdzieś tam, w Polskę szedł. No i już przyjechał pociągami. No i od pociągu też było 3 kilometry do wsi. Tak, że nie mogę powiedzieć, żeby... Wtedy już byłam. Czułam się bezpieczna. A spałam, pięknie spałam. Pani to w ogóle nie wie, co to może być. Jest kuchnia. Ja też nie wiedziałam. Ma cztery fajerki i jedne takie duże, gdzie się gotuje dla świń różne tam kartofle, nie kartofle. A później jest przybudówka i jest tak zwany zapiecek. I tam jest dużo, dużo miejsca. No to ja tam ze swoim jakimś tam braciszkiem spałam na tym. Już miałam luksus. No i to było właśnie. Już byliśmy w Warszawie i trzeba było znów z czegoś żyć. No to i mama, i wujek chodzili do odgruzowania. Ale w międzyczasie przyszła ciocia z Ravensbrück z wyniszczonym organizmem. Babcia i dziadek z Oświęcimia, bo już tych, ostatni transport, który zabierali z Warszawy, to już nie zdążyli spalić ani nic z tym robić, bo się o siebie bali i kombinowali Niemcy jak siebie zabezpieczyć. I tu już było mnóstwo osób na ten jeden pokój. No i trzeba to wszystko towarzystwo wyżywić. No to wujek mówi: „Wiesz co...”, do mamy, „Ja wiem jedno, dom był bardzo wysoki i maszyna stała w takim, ta do bawełny stała w takiej

wnęce” – mówi. „Jak runął dom, to zważyło się wszystko na lewo albo na prawo. Nie wiem, ale we wnęce maszyna jest”. I mimo, że tam było napisane: „Uwaga miny”, to jednak to był już luty. Poszedł wujek i dwa dni go nie było i przywiózł na sankach zdobycznych, przywiózł maszynę. Przywiózł maszynę i trzeba ją zreperować. No reperował. Pogięta, pogięta. No ale to było kawał żelaza. Jakieś 25 kg żelaza. Na sankach je przywiózł. I..., trzeba było jeszcze mieć towar i odpowiednie urządzenia do produkcji. To trzeba było kołowrotek zrobić. To wszystko trzeba było ręcznie zrobić. To, to tylko oni mogli jako młodzi kombinować, bo to się, a to z takich desek, a to gdzieś się tam. A, szkoda o tym mówić, bo to drobiazgi były. I właściwie po tygodniu maszyna była gotowa, ale nie ma na towar, nie ma. I na Puławskiej w domu Wedla, to róg Madalińskiego był już otwarty..., pana, pan Rzewnicki miał otwarty sklep i tam były pończochy, ubrania, rajstopy i takie, i nici. To wszystko to, co można było i co, co skombinował, co mu dostarczyli, to sprzedawał. No i mama poczekała, weszła, poczekała, aż wszyscy wyjdą i powiedziała do pana Żywieckiego: „Taka sytuacja jak pan...”, i jak powiedziała, że: „Mamy maszynę, umiemy zrobić, nie mamy na produkcję, nie mamy na towar”, bez słowa wyjął pieniądze. Wtedy to było dużo i powiedział: „Niech pani weźmie, rozpoczynicie, ale pierwszy towar, pierwszy towar do mnie i do nikogo więcej, bo ja nie chcę na razie mieć konkurencji”. No, mama chciała się tam wylegitymować czy coś i mówi: „Proszę pani, przeżyliśmy to największa legitymacja, trzeba jedno drugiemu pomóc i jedno drugiemu ufać”. No więc oni gdzieś tam na bilet też musieli zarobić. Do Łodzi już chodził elektryczny. Tak, albo nie. Nie. To nie był jeszcze elektryczny. To było..., to było stopem, to było stopem do tej Łodzi. Później było, za kilka tygodni, był dopiero elektryczny. Ale to był, pierwszy raz jechali stopem. Pojechali do Łodzi, kupili białą bawełnę i to jest bardzo duży ciąg produkcji. Szkoda to opowiadać, bo... Bo no cóż, nikt teraz nie ceruje. Jeśli ktoś ma rajstopy, polecą oczko, to fiu i już go nie ma. Nawet nie ma już tego z tych zakładów, gdzie łapali oczka. No bo 4 złote – 3,50 rajstopy, tak, że wszystko się zmienia. Zaczęli produkcję i utrzymanie, trzeba było utrzymać. Ale w domu babcia, dziadek, ciocia. Przyjechał wujek od Andersa. Ja, mama i wujek. Osiem osób, jeden pokój. No więc trzeba było się rozdzielić. No to dziadków mama zostawiła tu i ciocię. Wujek, wujek zaczął szukać też mieszkania. To już się odłączył. Natomiast myśmy znaleźli. Mama znalazła. Znalazła mieszkanie do wynajęcia na Puławskiej, gdzie notabene do tej pory mieszkamy. To znaczy syn mieszka, bo ja mieszkałam w dużym, tym dużym lokalu. Nie takim dużym, bo to 56, 60 czy tam z czymś metrów, ale piękne dwa pokoje, stare budownictwo. No i..., i przeprowadziliśmy się, ale jeden pokój był do zamieszkania, a drugi pokój miał dziurę w suficie, bo Niemcy strzelali tak zwaną krową. I ta krowa trafiła tam. Wszystko zrujnowała. Trzeba było remontować. Tak, że bardzo, to były tak ciężkie warunki, że to trzeba przejść. I dlatego, jak patrzę, gdy patrzę na zabiegi z perspektywy lat, patrzę na ludzi, którzy tak zabiegają o dobro materialne, o to, że żeby dużo mieć, żeby dużo zwiedzić, żeby się popisać, gdzie tam byli, gdzie tam. Myślę sobie, mój Boże, bo nie przeżyli i nie daj Boże, żeby, żeby do tego doszło, żeby musieli tak wędrować o żebraczym chlebie jak myśmy szli, bo nie było... A w Polsce przed tym nim, nim wojna się zaczęła, to też nie było pracy, nie było fabryk, nie było. Tak że to z opowiadań już wiem, to nie było tak, tak, że teraz co, co wnuki mają, co synowie mają. Nie narzekamy, to co jest, to akceptujemy, akceptujemy i i daj Boże, żeby było jak najdłużej, tak jak jest. A to, czy się rząd zmieni, czy się nie zmieni, to już nie moja sprawa. Nie ja tu rządzę, ani nikt z moich dzieci, bo nie jesteśmy zainteresowani. Każdy ma swoją profesję, każdy ma swoje życie i cieszymy się z tego co jest. Także nie mogę powiedzieć, że... Przeżyłam, to jest 80 lat, to mogę, bo osiem, pięć miałam, jak się wszystko zaczęło i to wszystko, i to wszystko wraca, ale teraz już nie wracają przerażające chwile, które przeżyłam, nie wracają w snach. I to jest pozytywne, bo co się śni, to się śni. Ale już nie zrywam się jako dziecko, nie zrywam się po nocach, że trzeba uciekać, prawda? I to, to właściwie każdy z tych, z tych osób, które to przeżyły, powinny właśnie opowiedzieć, żeby

następne pokolenia nie nie parły tak do majątków. Bo nie warto, nie warto. Trzeba żyć radośnie, cieszyć się tym co jest i dbać o zdrowie. Czego u nas profilaktyka, profilaktyka jest w opłakany stan, bo teraz krzyczą: „Uważajcie, uważajcie, bo wątroba nie boli”. No to teraz jak już teraz się wzięli za to, to teraz się zobaczy ile osób jest chorych, nie na covid, tylko na wszystko inne. Bo właściwie mózg i wątroba to są dwie rzeczy, które regulują całym człowiekiem. No zobaczymy. Ja w każdym bądź razie jestem przygotowana na to co jest i cieszę się, że..., że państwo to nagracie, że ktoś to posłucha i musi uwierzyć, bo..., bo to nie jest koloryzowane, nic nie dodane. Na pewno coś dużo ominęłam, bo, bo to jest miesiące jak się szło i ile jest strasznych przeżyć. Na przykład wchodzimy do Kielc, do, na przedmieściach i stoi człowiek goły i bez głowy. Mama... Zamknęła... A czy ja opowiedziałam o szkole i o tym, jak Niemiec dziecko zabił?

Julia Krajewska: Nie, nie, nie mówiła o tym pani. Nie.

Janina Urbańska-Tyborowska: Więc to jeszcze powiem, bo to jest bardzo ważne. I to mi się ciągle śniło bardzo długie lata. I cieszę się, że mi się już nie śni, bo Szkoła [Zgromadzenia] Sióstr [Franciszekanek] Rodziny Marii była na Żytnej, a tu obok stał mur od getta. Za tym była fabryka Gerlacha, a teraz stoi tam urząd gminy, a siostry są jeszcze. I mama mnie z Wroniej prowadziła za rękę do, do szkoły w jedną stronę. W drugą stronę to ja szłam na okrągło ze swoją Danusią Sulejewską, z koleżanką i już mama nie musiała po mnie wychodzić, bo tam albo któreś od nich także ten... I raz mnie mama... Chodziło się do szkoły tylko do drugiej klasy, żeby pójść do komunii. No więc to była wtedy..., lato, już ja byłam po komunii, i mama mnie odprowadzała. I dochodzimy do muru. Róg Leszna [faktycznie Żelaznej] i Żytnej. Do tego muru i widzimy, że jest wydlubana, olbrzymia, olbrzymia, nieduża dziura w tym murze na dole, i że grzebie się małe dziecko, wychodzi z tego. A Niemiec z karabinem chodzi wzdłuż tego muru i pilnuje. I wtedy on poszedł w tamtą stronę, to, to dziecko zaczęło wychodzić. I w pewnym momencie dziecko się zorientowało, że Niemiec się odwrócił, wraca i wrócił w drugą stronę i zobaczył to dziecko wychodzące, to nie dał mu na tamtą stronę przyjść, tylko wyciągnął go za nóżki i trzepnął o mur. Więc to, to wracało do mnie bardzo długo. Mama mnie trzymała za twarz i w kolana, bała się, żeby ja nie krzyknęła, bo inaczej to bym... Ale ja wszystko widziałam. Tylko tyle, że byłoby tak, że po prostu serię by puścił i nas by też nie było. Więc mama mnie przytrzymała. Ale, ale takich rzeczy to się nie zapomina. I czasem tak powiem szczerze. Ojciec Święty kiedyś powiedział: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Ja nie przebaczę. To może przebaczyć ten, kto nie widział, nie czuł na własnej skórze albo czyta z opowiadań i nie bardzo wierzy, że to mogło tak być. Ale jednak było. Bo byli tacy, którzy gdy szliśmy w takim upale po Elektoralnej, i stał Niemiec z kubłem wody i podawał ludziom, a stał Ukrainiec i się śmiał do rozpuku, że taki, taki się humanitarny człowiek znalazł. Także są wszędzie, są ludzie i ludziska. Także myślę, że przebaczyć to na pewno nigdy nie mogę przebaczyć i na słowo Niemiec, to po prostu się jeżę, ale na Rosjan też się jeżę. Najlepiej niech dadzą nam wszyscy święty spokój i bądźmy w Polsce Polakami. Nic poza tym. To damy sobie radę. Tylko niech nie strzelają. Ach ci Ruscy... Zastanawiam się, co się stało z tym, z tym Żydem, z tym syndykiem.

Julia Krajewska: Czy on zginął? Czy pani wie, co się z nim stało?

Janina Urbańska-Tyborowska: Tego właśnie nie powiedziałam. Mama poszła do sklepu i zamknęła mnie na klucz i powiedziała: „Jasia, siedź cicho. Ja zaraz wracam”. I był telefon, był telefon. Ja dochodzę i mówię: „Tu Jasia”. A z drugiej

strony słyszę tak: „To mówi Mieczysław, syndyk, Jasia Wołaj mamę”. Ja mówię: „Mama w sklepie” – „To powtórz mamie, że moje dzieci, moje dzieci, mój, i moja żona, moja Salcze, już są na samochodzie, na wywożenie na śmierć, a ja wyskoczyłem do telefonu, żeby wam powiedzieć, żebyście o nas pamiętali, bo ja zaraz do nich zejdę...”. I w tym momencie był strzał. I już się urwała rozmowa. I wtedy ten pan syndyk tam zginął, a ich wywieźli. Ale to się ma w oczach, w oczach. Z tymi dzieckami to ja się bawiłam. One takie ładne, czarne, kędzierzawe, a ja taka biała, chuda. No ale pierw się nie liczyło. Ten taki... No jak pani mówię, na [ulicy] Księcia Janusza, to Niemiec wybudował sobie, Niemiec wybudował sobie dom jednopiętrowy, a na..., przybudówka była na, na ogrodzie i tam mieszkała rodzina chyba z pięcioro dzieci, które już w kwietniu, jak tylko ciepło, to biegały boso. A vis a’ vis tego, bo to „szesnastka” chodziła jednotorowa, Bema i tutaj do, ta ulica się nazywała..., do Księcia Janusza. Tu już była pętla. I te dzieci były pola Urlicha, pola pomidorów. I te dzieci codziennie chodziły brać te pomidory, zabierać, najadać się, zielone, nie zielone jadły i jeszcze zabierały. A ja byłam bardzo dumna, jak mi raz pozwolili pójść razem z nimi na, po te pomidory. A ja byłam jedynaczka. Wszystkie ubranka, nie ubranka, z których wyrastałam, to wszystko szło do tych dzieci, tak że biedy było wszędzie i naokoło. Ale że mój ojciec pracował, nim założył ten zakład, to pracował w PZU [PZZ], tylko że wtedy to było Państwowe Zakłady Zbrojeniowe, tak się chyba to nazywało i miał dość dużą pensję, bo 400–500 zł, to była duża pensja. No i... A po południu jeszcze jak przyszedł, a był tapicerem, to przerabiał kozetki, tapczany przerabiał i uciutali właśnie na ten zakład, żeby założyć. No to ucieszyli się. Od 1939 roku, od 1932, jak się pobrali, parę lat radości. Koniec.

Julia Krajewska: Zastanawiam się też jeszcze, czy wie pani może, jak to się stało, że pani ciocia do tego Ravensbrück trafiła? Jak tam trafiła do Ravensbrück? Ciocia. Wie pani, jak się znalazła tam ciocia?

Janina Urbańska-Tyborowska: Ciocia? Tak. Oczywiście. Zaraz powiem. Ciocia..., w czasie bombardowania, wujek, wujek i ciocia mieli dwóch synków. Walduś miał pięć lat i Michaś siedem i siedem miesięcy. Przepraszam, pięć lat i siedem miesięcy. Michaś. I w czasie bombardowania Walduś się tak przestraszył, bo to było bombardowanie było tuż, tuż, że dostał zapalenia opon mózgowych i umarł. A Michasiowi rozstąpiła się głowa, bo ząbki nie wyszły, gdyż nie było rady. I ciocia z tej rozpaczyny zaczęła pracować, żeby się czymś zająć. No i zatrudniła się na Nowym Świecie jako kawowa. No bo w bufecie taka cukiernia była i tam się zbierali akowcy. Niemiec o tym wiedział, bo to było właściciel, właściciel Niemiec, ale nie zwracał uwagi. Jego to nie obchodziło. On mówił: „Biznes to biznes”. Ale wydał ich Polak za pewno dużą opłatą i ich wszystkich zgarnęli, 12 mężczyzn, którzy zginęli na Pawiaku, a ciocię zabrali do Ravensbrück jako jedną kobietę w tej grupie, bo była kawową, więc nie mieli obowiązku... Nie myśleli, że ciocia też należy do tej grupy, bo oni ciocię wciągnęli. Tak że ciocia trafiła. Ale, że miała wtedy, była bardzo młoda i miała siłę, więc przetrwała, i koleżanki jej przetrwały. Później miałyśmy, miałyśmy kontakt z nimi. Nie powiedziałam też, że mama miała dwie koleżanki z liceum, z gimnazjum, bo to nie było liceum, tylko gimnazjum, dwie koleżanki, Helenkę i Wandę Marganiec. Natomiast później w kenkartach miały: Helena, Wanda Majewskie. Z tym, że Wanda była, mówiła pięknie po polsku, nie miała żadnego akcentu, ale..., i nie była podobna do Żydówki, nie była. Natomiast Helenka, to nie dało się ukryć. Po prostu od razu wiadomo – Jude. Więc Helenkę zabrały siostry zakonne. Ścięły jej włosy, przechrzcili ją czy tam ochrzcieli. I uratowała się w zakonie, no bo nie odróżni w zakonie. Natomiast Wanda u jakiegoś, chyba w Łomży, w Łomży kogoś znajomego miała w biurze adwokackim, a że знаła język francuski i niemiecki, była mocno wykształcona, no to one, to ona się tam zatrudniła, żeby ona po polsku niby nie mówi i tak dalej, bo gdy się odezwiała, to już wiadomo było, że Żydówka. To one u nas siedziały przez rok.